

Jan Grygiel

BLIŻEJ TEATRU

Na Kongresie Kultury Polskiej wiele mówiono o kształtowaniu pojęć estetycznych i zasad moralnych przez sztukę. Nie zawsze dotąd pamiętało się w naszym życiu kulturalnym o tej niezwykle ważnej funkcji twórczości artystycznej. Żadna dyscyplina sztuki nie ma takiej możliwości oddziaływania wychowawczego jak teatr. I to nie tylko teatr zawodowy, o głośnej renomie, poszukujący nowych dróg, lecz również, a może przede wszystkim amatorski ruch teatralny. Ten bowiem dociera do większej ilości odbiorców i bardziej angażuje uczuciowe środowiska, w których działa. Dlatego też z najwyższym uznaniem należy potraktować dynamicznie rozwijający się w Polsce ruch amatorskiego teatru. Powstają w całym kraju liczne koła wielobicieli Melpomeny, organizuje się masowe wycieczki z najdalszych wsi na spektakle teatralne, konkurs „wieś bliżej teatru” obejmuje coraz szersze kręgi uczestników i przynosi dobre owoce.

Dobrze się stało, że i w Rzeszowskim posiadającym tak dawny i tak bogaty dorobek w dziedzinie amatorskiej twórczości teatralnej szerzy się ostatnio żywo ruch upowszechniania i popularyzacji teatru.

Niedawno, bo w dniu 13 listopada br., odbył się w Rzeszowie I Wojewódzki Zjazd Miłośników Teatru, na którym wytyczono dalszy program działania tego ruchu i formy pracy. Na tę imprezę przybyło kilkadziesiąt osób znanych w całym województwie z długoletniego zaangażowania uczuciowego w sprawę teatru. Byli to przedstawiciele środowisk wiejskich, ludzie z czołowych teatralnych zespołów amatorskich, organizatorzy konkursu „wieś bliżej teatru”, reprezentanci teatrów zawodowych i kół miłośników teatru.

W referacie, który wygłosił wiceprzewodniczący rzeszowskiego oddziału Związku Teatrów Amatorskich, Zbigniew Umiński, sporo miejsca poświęcono osiągnięciom amatorskiego ruchu teatralnego na naszym terenie. Tradycje przemysłowego „Fredreum”, rzeszowskiej „Reduty”, dawnych zespołów teatralnych z Gacii, Markowej, Bóbrki czy Szalowej kontynuują dziś około 500 scen dramatycznych, estradowych i teatrów słowa, z tego ponad 70 proc. w środowiskach wiejskich.

Główne tezy referatu dotyczyły problemów upowszechnienia sztuki teatralnej, czyli stworzenia warunków i możliwości kontaktu z nią i jej odbioru przez jak największą ilość ludzi oraz uprzystępnienie teatru, przybliżenie odbiorcy sensu, ułatwienie pojmowania i zrozumienia treści i form przedstawień. W zakresie zbliżania odbiorcy do teatru zrobiono na naszym terenie dużo dzięki sprzyjającym temu warunkom. Zawodowe placówki teatralne prowadzą szeroką i systematyczną akcję objazdową — np. Teatr im. Wandy Siemaszkowej organizuje w Rzeszowie spektakle na dwóch scenach oraz obsługuje przeciętnie 30 miejscowości w województwie (średnio rocznie 9 premier i 150 tys. widzów). Teatr Lalki i Aktora „Kacperek” obsługuje średnio w roku ponad 420 miejscowości i 160 tys. małych widzów. Kabaret „Porfirion” i inne zespoły angażowane przez rzeszowską „Estradę” docierają rocznie do około 150 tys. widzów. Ale bardzo poważny udział w realizacji planów terenowych tych placówek mają właśnie koła miłośników teatru i działacze amatorskiego ruchu teatralnego.

O zamiłowaniu teatralnym w naszym województwie świadczą także imprezy, jak „Dni teatralne miasta Jasła” i „Dni teatralne wsi jasielskiej”, jak odbywające się z inicjatywy WKZZ doroczne festiwale związkowych teatrów amatorskich pod nazwą „Teatry robotnicze — ludzimi pracami”, organizowane w Domu Kultury WSK w Rzeszowie, jak „czwartki teatralne” z ZDK Hut „Stalowa Wola”, jak wreszcie spotkania z artystami teatrów zawodowych (niezależnie od spektakli), których w latach 1965/66 odbyło się ponad 250. Imprezom tym wszędzie na ogół towarzyszą prelekcje, spotkania z literatami, dramaturgami, reżyserami, ludźmi prasy i radia oraz dyskusje.

Dobrze upowszechnia kulturę teatralną wspomniany już ZDK w Stalowej Woli bogatymi i licznymi formami, ZDK w Mielcu, dzięki wzorowo pracującemu teatrowi amatorskiemu, „Fredreum” w Przemysku oraz PDK w Lubaczowie i sporo innych placówek kulturalnych. Ambitnie i zastępowe zespoły miejskie i zakładowe winny może więcej pomocy udzielać teatrom i miłośnikom teatru na wsi. Tak zresztą w wielu środowiskach się dzieje. Za słabo pobudza się zainteresowania teatralne w szkołach, a przecież jest to znakomity instrument wychowawczy. Organizowanie i aktywna działalność kół miłośników teatru w tych środowiskach pozwoli na wykształcenie świadomych odbiorców sztuki teatralnej. Okręgowy Ośrodek Metodyczny, uczelnia kształcąca nauczycieli i organizatorzy seminariów i kursów teatralnych winny lepiej przygotowywać nauczycieli do tej działalności. Nie możemy sobie pozwolić na to, by tradycje teatru szkolnego, tak kiedyś chlubne zupełnie zanikły.

W ożywionej i twórczej dyskusji po referacie, w której zabierali głos m. in. Jerzy Pleśniarowicz, Janina Juraszewska, Władysław Peszko, Irena Roźniatowska i Leon Ratymieński poruszono wiele nowych problemów. W idei ruchu miłośnictwa teatru — mówiono — nie chodzi o ilość widzów, o masowość uczestnictwa w spektaklach. W Rzeszowskim nie istnieje problem pustych widowni — chłonność odbiorców jest tu większa niż gdziekolwiek. Ważne jest, by widzów zaktywizować i przygotować do odbioru sztuki, gdyż w pewnym sensie widownia decyduje o sukcesie teatru. Obalono pogląd, że widz wiejski żąda w repertuarze sztuk „do kłosek” i „do piaczu”. Nie ma potrzeby, jak to dawniej się czyniło, koczowania odbiorcy z tych środowisk łatwizna i banałem. Działalność amatorskiego zespołu z Dynowa dowodzi, że można z powodzeniem grać dla wsi takie sztuki, jak „Czarowna noc” Mroźka, „Uczcie morderców” — Wydrzyńskiego, „Firma prosperuje coraz lepiej” — Barbary Witek i Alfreda Dudy, a więc repertuar współczesny, nietławy i zaangażowany.

Mówiło się również o celowości wprowadzenia w środowiskach wiejskich i małopolskich przed każdym trudnym spektaklem prelekcji ułatwiającej zrozumienie sztuki — i o wielu innych sprawach.

W referacie i dyskusji mówiono również o dużym znaczeniu teatru radiowego i telewizyjnego dla upowszechniania kultury teatralnej. Bardzo ważną rolę mogą odegrać w tej dziedzinie dyskusje, na których telewizyjny lub zorganizowany przez teatr zespół może być na miejscu, np. nad niedzielny spektakl w TV może stać się znakomita szkoła teatru. Może Woj. Poradnia Instruktorska Metodyczna przewidziała w programie szkolenia dla instruktorów teatralnych prelekcje o formach pracy z telewizorem, gdyż niełatwo to osiągnąć w ramach działalności i doświadczenia.

Na zjeździe wybrano również delegatów na Krajowy Zjazd Miłośników Teatru w osobach Jerzego Pleśniarowicza, Antoniego Grochowskiego z Jasła, Janiny Juraszewskiej z Dynowa, Władysława Peszki z Kraczkowej i Ireny Roźniatowskiej z Przemysła. Imprezę zakończono spektaklem „Hipnozy” Antoniego Cwojdzńskiego w reżyserii Jerzego Pleśniarowicza, na małej scenie Teatru im. Wandy Siemaszkowej.

Fragmencie dodać, że o dynamice i aktywności ruchu upowszechnienia sztuki teatralnej w Rzeszowskim, któremu poświęcony był zjazd, bardzo dobrze świadczy tegoroczne nagrody w konkursie „Wieś bliżej teatru”. Województwo rzeszowskie zajęło w nim jedno z czołowych miejsc. I nagrodę otrzymał Oddział Wojewódzki Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie i PDK w Kwidzynie. Z nagród dla środowisk wiejskich 5 przypadło dla województwa rzeszowskiego: Nagrodzono Klub Książki i Prasy „Ruch” przy PGR w Lublińcu Nowym — pow. Lubaczów, Zarząd Koła ZMW przy POM w Dachnowie, pow. Lubaczów, Zespół teatralny ZTA przy OSP w Dynowie, Klub Rolnika w Trzciannie, pow. Rzeszów, i Bibliotekę Gromadzką w Zaczerniu, pow. Rzeszów. Spośród nagród indywidualnych 6 otrzymali działacze rzeszowscy: Wiktor Nowicki — sekretarz Zarz. Oddz. ZTA w Rzeszowie, Józef Kobak z Jasła, Franciszek Blok z Ostrowa, pow. Jarosław, Julia Klimaszewska ze Strzegocin, pow. Debica, i Tadeusz Markowicz z Dachnowa, pow. Lubaczów.

Jak się okazuje, Rzeszowskie otrzymało 1/4 wszystkich nagród w konkursie. Niech to będzie ostatnim optymistycznym akcentem tego komentarza.

JAKI MOMENT uznać za zwrotny w dziejach tej wsi? Pytanie brzmi co najmniej patetycznie, ale uzasadnia je radykalna zmiana, zwłaszcza ekonomicznego położenia mieszkańców Wysokiej Głogowskiej, którzy do nie tak dawna jeszcze gospodarowali na niewielkich kawałkach piaszczystego gruntu. Ziemia nadal ta sama, lecz jej użytkownicy jakby inni, na pewno zamożniejsi i niewątpliwie światlejsi niż dawniej. I chociaż te dwie cechy w jakimś stopniu wzajemnie

reformą rolną ten ojciec pleciorga dzieci gospodarował na dwóch hektarach i kilku arach, z reformy otrzymał jeszcze dwa hektary. Wielu spośród rolników usiłowało na własną rękę coś niecoś uszkuścić z dworu, rozkradli także budulec, z którego miała powstać nowa szkoła. Wieś była nadal biedna i jak dawniej skłócona. Piaszczysta gleba dawała nikłe plony; jeszcze w latach pięćdziesiątych poważną pozycję w dochodach rolników stanowiły pieniądze za borówki zbierane w pobliskich lasach.

Po wojnie dwuizbowa szkołka nie wystarczała; ówczesny kierownik Kazimierz Zmudka wystąpił z propozycją budowy nowej, lecz — jak już wspominałem — budulec chłopów rozkradł. By ocalić resztki materiałów, a równocześnie zjednoczyć wieś wokół wspólnego celu, kierownik szkoły wystąpił z inicjatywą budowy domu ludowego. Budowę zakończyli już następcy Kazimierza Zmudki, który — zanim został kuratorem rzeszowskiego okręgu szkolnego — pozostawił tu trwały ślad swojej działalności.

Zdzisław Kozioł

W ZMIENIONEJ SYTUACJI

się warunkują, to jednak przemiany w sferze świadomości są o wiele bardziej skomplikowane.

Nie wiem na przykład, co obiecywali sobie po wieściach, jakie przez linię frontu przedstawiali się do Wysokiej Głogowskiej. A były one chyba dla chłopów krępujące. Udał się do miejscowej dziedziczki z propozycją wzięcia krów na przechowanie; proponował dogodne warunki. Może rozmawiali następująco: jeśli zmiany, o których mówią wokół, nie nastąpią, to nie narażaj się na konsekwencje za zagarnięcie pańskiego majątku, a jeśli rzeczywiście dla chłopów nastaną lepsze czasy — krowy pozostaną w chłopskich oborach. Dziedziczka nie chciała słyszeć o żadnych transakcjach; ludzie się widocznie, że nadchodząca nowość nie będzie trwała.

W to nowość nie każdy chłop wierzył, nie każdy chciał brać pańską ziemię, byli i tacy, którzy wzięli i szybko z niej zrezygnowali. — Ja ziemi nie oddałem — mówił mi jeden z rolników — myślałem sobie, że jeśli mnie nawet zabiją, to ziemia i tak zostanie dzieciom. Przed

A obecnie? Za same tylko truskawki rolnicy otrzymali pół miliona złotych. Ogrodnictwo i warzywnictwo jest podstawą zamożności wsi, niektórzy uprawiają po 10 tysięcy krzaków pomidorów. Wznoszą nowe domy i budynki gospodarcze, kupują meble, kilku nabyło telewizory. Z poważniejszych wspólnych inwestycji wymienię dom ludowy, dom strażaka, elektryfikację wsi, szkołę, dom nauczycielski. Obecnie budowana jest droga, agromotowózka z pomieszczeniami dla zootechnika oraz garaże kółka rolniczego.

Pozornie, wieś jak wiele innych, ale wydaje mi się, że Wysoka Głogowska jest szczególnym przykładem, zwążywszy jej start; dobre czasy nastąpiły dla tamtejszych rolników dopiero przed kilku laty. — Jakimkolwiek rozmawiał o inicjatywach wsi, każdy wymienia nazwisko kierownika szkoły. Szkoła rzeczywiście była czynnikiem konsolidującym wieś, chociaż przed laty stanowiła kość niezgody. O lokalizację szkoły kłócono się jeszcze w ubiegłym stuleciu; część mieszkańców wsi przeniosła nocą materiał budowlany na inny plac, co pogięło antagonizmy.

W roku 1951 kolejnym kierownikiem szkoły został Stanisław Sarama. Miał już pewne doświadczenie w budowie systemem gospodarczym. Przedłożył mieszkańcom wsi propozycję wzniesienia szkoły nowoczesnej, co jednak przekraczało wówczas finansowe możliwości gromady. Długo trwały dyskusje, tymczasem zaś podejmowano różne inicjatywy inwestycyjne. W Wysokiej Głogowskiej zaczęła konsolidować się grupa aktywny społecznej, która z czasem stała się Komitetem Gromadzkim FJN; jego przewodniczącym wybrano Stanisława Saramę.

— Ludzie słuchali kierownika — mówi Stanisław Migut, długoletni przewodniczący komitetu rodzicielskiego — jak myślny coś postanowili, to woleliśmy iść do ludzi z kierownikiem, bo miał duże poważanie.

Najpierw Stanisław Sarama zaproponował zbudowanie cegielni. Chłopi dali ze swoich lasów drzewo, chociaż wielu jeszcze odmawiało się tych pochwał ze sceptycyzmem, zwłaszcza gdy huragan zniszczył szope, a pięć dwukrotnie się zawałił. Przy odbudowie zniszczeń pracowali aktywiści, lecz do podniesienia komina zgłosiło się już 50 osób. Wieś otrzymała pierwszą pomoc z zewnątrz — 120 ton węgla od górników. W latach 1961—62 wypalono 250 tys. cegieł.

Nie będę opisywał wszystkich trudności, jakie piętrzyły się przed społecznym komitetem budowy. Nie było dokumentacji, brakowało fachowców, nie zbywało natomiast na dobrych chęciach całej gromady.

Stanisław Sarama obejmując funkcję kierownika budowy kupił książki fachowe, by podbudować swoje umiejętności amatorskie w tym zakresie. Dokonał niezbędnych poprawek i przeróbek projektu typowego; w dokumentacji były błędy, które mogły spowodować zawalenie się budynku. Zmiany te akceptował inspektor nadzoru, inż. Mieczysław Zajac, z rzeszowskiego DEOR-u. O jego wkładzie w budowę szkoły z uznaniem mówią w Wysokiej Głogowskiej. W powołanie tej inicjatywy uwierzył, gdy mieszkańcy dokonali nie lada wyczynu; w ciągu 5 dni wykonali roboty ziemne, na 3 zmiany pracowało po 100 ludzi.

— Była to niebezpieczna praca — wspomina Stanisław Sarama — wykopy głębokie, teren podmokły, w każdej chwili groziło zasypaniem. Trzeba było pilnie uważać, by których ze stu ludzi nie pozostał w wykopie... Sporo kłopotów przysporzyła nam woda, która później zalała piwnice; zrobiliśmy jednak opaskę drenową, a za radą inżyniera Zajaca zastosowaliśmy mieszankę gliny i cementu. Piwnice, w których obecnie mieszczą się szatnia i pracownia, są zupełnie suche, choć teren bagnisty.

Kierownik szkoły chciał nie tylko zbudować obiekt, lecz także wyposażyć go w nowoczesny sprzęt i pomoce naukowe. Wytrwale gromadził pieniądze; organizowano zabawy, przedstawienia, poszukiwano mecenasów... WZGS dał 200 tys. zł, katowicka dyrekcja łączności — 300 tys. zł w zamian za wypożyczenie obiektu na kolonie letnie. Z wydatną pomocą przyszedł Warszawski Okręg Wojskowy; początkowo prośbę komitetu budowy załatwiono odmownie, lecz po wizji lokalnej, zaprezentowaniu wsiadki wsi, WOW przekazał 1,5 mln złotych.

Spotykałem okazalsze obiekty szkolne, nie widziałem jednak wiejskiej szkoły tak nowoczesnej i przytulnie wyposażonej. Dzieci chętnie przebywają w niej do późnych godzin, jeśli oczywiście nie ma robót



„Trzy siostry” Czechowa w Państwowym Teatrze im. Wandy Siemaszkowej.
(Na str. 2 zamieszczamy recenzję K. Świerczewskiej).

Krystyna Świerczewska

W KLIMACIE OSACZENIA

Nieemożność, cienie uśmiechów, poezja przyjazna ironii, rezonerstwo drażniące, umiejętność konstruowania dialogu o niczym, drażnienie obnażające pustkę dziesiętnastowiecznych sfrustrowanych, w miejsce „dziania się” ledwo zarysowane kontury faktów, wielkie napiętności przemienione w beznadziejną rozpacz, chęć ucieczki zagłuszona nakazami obyczajów — czy ja wiem jeszcze co — może wielkie pragnienie ludzi teatru i widzów, by przynajmniej ten spłot pajęczy do końca, by nazwać nienazwane, niecierpliwie zedrzeć pajęczyne z ludzi, znaleźć ich prawdziwe twarze — czyni ze sztuk Czechowa tak osobliwe zjawiska dramatyczne.

Każdy z nas ma jakąś własną wzięję dramatu; spektakl ją realizuje, bądź nie. Są dramaty tak mocno budowane przez autorów, że teatr tylko podkreśla te ich cechy i niewiele zamazać może; są inne, tak trudne do inscenizowania, tyle wieloznaczności rozsypane na scenie, że widz czuje się zagubiony, czasem beznadziejny, często walczący podświadomie z inscenizatorem. Ale zawsze kryje się za tym autor z jego filozofią, praprzyczyną zaś sporu czy akceptacji tkwi w literaturze. Podkreślał to szczególnie silnie przy omawianiu najnowszej premiery Teatru im. W. Siemaszkowej, jaką były „Trzy siostry” Antoniego Czechowa, co do których przyjdzie nam nie zgodzić się z autorem, jakoby mogły być wedonajbardziej komedia, jawi się bowiem przed nami autentyczna tragedia nieprzystosowanych, tyle, że pokryta nutkami ironicznego wobec nich dystansu.

Mozna tę opowieść osadzić bardzo mocno w dziewiętnastowiecznych realiach rozkładającego się ustroju carskiej Rosji i wszelkie przyczyny nieszczęśliwej wegetacji Prozorowych z niego wywodzić, ale to, niestety, nie byłby Czechow autentyczny, od którego pewnie wzięło początek pojęcie antyteatru, nie byłoby to Czechow, który wymyślił Godofa, dając mu na imię „Moskwa”, Czechow, u którego pobrzmiewają pierwsze echa filozofii egzystencjalistycznej, Czechow z niewiarą w sens życia, przychodzący nie tylko z zewnątrz, tzn. z warunków ustrojowych, ale rodzący się w człowieku jako protest wartości duchowych przeciw konkretnej materii obyczajowej.

To rozdarcie między ducha a kanon obyczajów ludzi przeciętnych, wpływ prowincji (pozwolenie sobie rzeczyć bardzo uproszczonej, sennej, otepiałej, kiedy zapomina się wszystko, co kiedyś się umiało i w nauce czego wkładało się cały wysiłek umysłu oraz serca — to jedna warstwa, z którą walczą świat Prozorowych; nieumiejętność przedarcia się przez otepienie, nie-małe romantyczne niemożności czynu, wyzwolenie się z pozornie wygodnego życia, rezygnacja wreszcie — to właściwa osnowa dramatu, tak szczerze i zarazem tak cieniutką nitką pleciona, że rozrywa ją każde niewłaściwe pociągnięcie teatru, że rozłamuje się w rękach niedobrego aktora, pozostawiając wspomnienie za ledwie po lśniącej, uroklwej materii wydmuchanej przez samego Czechowa.

Stanisław Bieliński, który reżyserował „Trzy siostry”, chyba bardzo pamiętał o wieloplanowości sztuki i znakomicie udało mu się przekonać swoim przedstawieniem, że nie ma w niej głównego bohatera, głównego problemu, najważniejszej idei. Że „Trzy siostry” są jak samo życie sztuką kłębiących się myśli, wielości postaw, przemijania ludzkich losów, wzajemnego przenikania nastrojów; że w końcu niewiele musi się dziać, by życie rozpadło się na naszych oczach i bankrutowały marzenia. Właściwie nie wiem czemu tak widząc sztukę i nie szukając do niej zbyt eksperymentalnego klucza, z zakończenia czyni tę szalenie optymistyczną scenę, gdzie deklaracyjny patos, który przy takim założeniu mógłby być jedynie manifestem drwin, tu ma ilustrować wiarę w happy end, w moralne odrodzenie, w obudzenie się do czynu? Może to dziwne zaczynać od zakończenia, ale właśnie ono rozbiła mi czystość przedstawienia, konsekwencję reżyserką, tak czytelną do tego momentu, tak słuszną przede wszystkim.

A III akt? Ten, gdzie wszystko jest tak bardzo dramatyczne, gdzie płońe miasto, gdzie płońe papierowe zrywy sióstr, gdzie krzyk Iriny

obnaża zamierzenie Czechowa i tu dopiero tłumaczy, każąc zrozumieć, wcześniejsze rezonerstwo Wierszynina i Tuzenbacha?

Myszę, że ten III akt był najmocniejszą partią przedstawienia i najlepszą, dość ryzykownie przy tym przeprowadzoną przez Bielińskiego, bo na wyciszeniach, na tej samej tonacji, która dominowała w całości „Trzech sióstr”. Dość ryzykownie, bo to było coś nowego w inscenizacjach czechowskich.

Ala czy słuszne było pozostawienie tego pustostawia Wierszynina i Tuzenbacha w aktach poprzednich? To przetrzymywanie widza ze zrozumieniem sztuki aż do kulminacyjnej sceny? Czechow nie może być grany dynamicznie, bo nie będzie Czechowem, bo nie będzie denerwowwał i zarazem pociągwał tą przewrotną rozwickłością, która decyduje o jego niestarzeniu się i niestety... o jego licznych teatralnych kłopotach; ale tu, w tym konkretnym przedstawieniu, czyż nie prościej byłoby zrezygnować z tej salonywej kokieterii słów? Nie wiem, nie chcę nie twierdzić, bo boję się Czechowa, bo żywię dla niego admiraację ogromną, bo zawsze obawiam się ostatecznych dopowiedzeń przy jego sztukach, ale wiem też, że istnieje dość zasadnicza różnica między rozwickłością, która intryguje, buduje napięcie psychologiczne, a rozwickłością, która po prostu nuży. Dwa pierwsze akty często przekraczały dozwoloną u Czechowa granicę znużenia i stąd powyższe sugestie.

Zostało jednak uszanowane w sztuce, to co w niej najważniejsze — jej budowa polifoniczna, której podstawową zaletą jest dążenie do wielkiej syntezy losów ludzkich. Irina, Masza, Olga, Tuzenbach, Wierszynin, Czebutykin czy Solony — to nie samotnie błąkające się postacie, obarczone bagażem własnych obciążań czy doznań, ale właśnie części syntetycznej całości. I dopiero tak widziane zaczynają mieć sens, określają wielkość czechowskiego zamierzenia, tworzą uogólnienie, dają portret człowieka w ogóle. Myszę ponadto, że przede wszystkim tu leży sens całego spektaklu, na tyle ważny, że warty podkreślenia, że budujący niepostrzeżenie klimat osaczenia, szarotania, zaduchu.

I na pewno ów sens rzutu na następne z kolei stwierdzenie, iż nie było w tym spektaklu roli, która zdecydowanie wybijałaby się ponad inne, którą można byłoby wyodrębnić jako szczególnie dobrą czy złą. Tu czuło się z e s p ó ł aktorski i to także było zgodne z założeniami autora.

Tytułowe postacie grane przez Elżbietę Lityńską (Olga), Marię Grey (Masza) i Joannę Jarzębską (Irina) chyba powinny znaleźć się na pierwszym miejscu. Podobała mi się oszczędna, opanowana gra Lityńskiej. Dyskusyjnie natomiast zagrała Grey, bo jej Masza, złożona z ulotnego wdzięku, tragizmu i głosu rozpieszczonego dziecka jakoś rewolucjonizowała mi wyobrażenia o gniewnej Maszy, deptającej uszczelone obyczaje; miała jednak scenę tak dobrą w niemej, tragicznej rozpacz finału, że nie mogę o tym nie napisać. Zaskoczeniem wielkim była dla mnie Jarzębska — nie nazbyt naturalna w młodzieńczym optymizmie aktu I, swoją transformację w dojrzałość cierpienia pokazała z wielkim autentyzmem; wzruszała.

Niepokoili mnie Wierszynin Rywarda Krzyżanowski, bo budował swoją rolę trochę na pograniczu szyderstwa, poży, bawidamka i utartych gierki podstarzałego lwa salonowego. Miał wdzięk, ale przewrotny; miał przy tym płytkość, która mnie raziła.

Tuzenbach Bielińskiego był liryczny. To byłoby na pewno zbyt małe i chyba dlatego w I akcie był tak bezbarwny, gdyby nie konsekwencja, z jaką podkreślił w finale swoją miękkość, niezaradność, nieprzystosowanie, słowem — całą temperaturę uczyć dobrze wychowanego inteligenta, ani o włos nie wykraczających poza utarte kanony.

Solony Kozienia był ponurym tępakiem, w którym od czasu do czasu drzy cieniutka podszywka cierpienia; Czebutykin Burałowski, którego niegdyś z taką maestrią

grzył Opaliński, był nie tylko śmieszny; był przerażająco śmieszny — w ludzkim, nie monstrualnym wymiarze. Jak to zrobił zaś Ireneusz Erwan, że z malej roli ciemnego, tępego Fieraponta wydobyl tyle pogodnego komizmu — niech to pytanie będzie wyrazem mego uznania i zarazem jego aktorskich możliwości.

Nie mam miejsca dla wszystkich, czego żałuję; bo nie byli wcale gorsi od tu wymienionych; grali trudnego Czechowa z prawdziwą pasją, z chęcią wydobycia wszystkich cieniowości i niuansów. Ze nie zawsze to wszystkim wychodziło? Cóż, Czechow ma to do siebie, że nie czyni podziału na małe, wielkie i pierwszoplanowe role. Ze wymaga aktorstwa oszalamiającego, że na nim buduje swoje „wesołe komedie”, po których gorzko w sercu. Ze buduje role m y s ł a c e. Dlatego najtrudniejszy.

I buduje wnętrza, którym dopomóc musi scenografia. Jerzy Szymański wyduł srebrne liście tapet i przytaczającą szarość, za co mu chwała; dlaczego wyduł też jeszcze stół w głębi, który jako żywo nasuwał reminiscencje do ostatniej wieczerzy — tego już nie wiem. Nie wydułaczyl mi tej sprawy nawet Stanisław Bieliński, który w I akcie jakoś bez wielkiej ochoty zaludniał pierwszy plan i było na nim pusto, pusto, pusto. A może to też było zamierzone i miało grać? Ze mnie nie zagrało, to w końcu jest tylko retykoryczne stwierdzenie.

„Trzy siostry” otworzyły nowy rzeszowski sezon teatralny. Była to pozycja repertuarowa bardzo ambitna, wymagająca kolosalnej pracy; kolosalnej nie tylko ze względu na trudności, z jakimi boryka się nasz teatr, ale przede wszystkim ze względu na nazwisko autora. Miałem przeto nadzieję, że ciekawie zapoczątkowany sezon, zamknie się równie ciekawym bilansem.

KRYSTYNA ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. W. Siemaszkowej — „Trzy siostry” — Antoni Czechow. Reżyseria: Stanisław Bieliński. Scenografia: Jerzy Szymański. Asystent reż.: Zofia Gorczyńska. Osoby: Z. Bartoszk, A. Cellari, E. Lityńska, M. Grey, J. Jarzębska, M. Lekszycki, R. Krzyżanowski, S. Bieliński, Z. Kozien, Fr. Burałowski, W. Miernycki, H. Gońda, I. Erwan, Z. Gorczyńska. Premiera 5 listopada 1966.

Siódmy rok krakowskich „Jaszczurów”

Znany również i poza granicami naszego kraju krakowski Klub Studencki „Jaszczury” rozpoczął siódmy rok działalności. Najbliższe plany zapowiadają się niezwykle atrakcyjnie. Przewidziane są „Dni” teatru, plastyki i muzyki, filmu, literatury oraz cykle imprez politycznych i społecznych, na które złoży się m. in. seria spotkań: „Jacy właściwie jesteśmy”, „Polska mój dom”, „Pożegnanie z Bogiem”, „Życie i polityka”.

Klub gościć będzie czolowych przedstawicieli świata kultury i sztuki, a także wielu przedstawicieli życia politycznego i społecznego z całego kraju.

„Jaszczury” zamierzają nawiązać stałą współpracę z klubami dziennikarzy, artystów i socjologów, geografów itp.

Rzeszowski arkusz poetycki

W następnym, listopadowym numerze „Głosu Młodzieży Wiejskiej” ukaze się dodatek literacki: „Rzeszowski arkusz poetycki”. Wezmą w nim udział następujący autorzy, członkowie rzeszowskiego KKMP: EMIL GRANAT, CZESŁAW PIOTR KONDRACIUK, TADEUSZ KUBAŚ, WIESŁAW KULIKOWSKI, TADEUSZ PIEKŁO, EDWARD ZOŁOWSKI.

DOKONCZENIE

1

polowych. Przychodzą także w niedziele, oglądają telewizję, bawią się, siedzą w klubowych fotelikach. Część mebli i sprzętu wykonano systemem gospodarczym według projektu kierownika.

Stanisław Sarama twierdzi, że ten sukces był możliwy, dzięki wcześniejszym, pomyślnie zakończonym inicjatywom. Powodzenie stało się asumptem do kolejnych poczyni, które przyniosą realne korzyści wszystkim mieszkańcom, np. elektryfikacja wsi czy budowa drogi. Po zbudowaniu szkoły — którą wieś otrzymała w dużej mierze, jeśli nie przede wszystkim dzięki wyjątkowej wytrwałości i pomysłowości wiejskiego nauczyciela — wydatnie zmieniły się również warunki pracy i życia całego grona pedagogicznego. Dawny budynek podworski adaptowano na dom nauczyciela: 5 dwupokojowych mieszkań z kuchnią, dwie garsoniery, centralne ogrzewanie.

Kierownik szkoły, kończący obecnie zaoczne studia w rzeszowskiej WSP, myśli jeszcze o stworzeniu wiejskiego ośrodka oświatowego, m. in. zamierza w obrębie szkoły wyciągnąć park podworski, urządzać boiska i place zabaw. Też ciekawy pomysł.

Szkoła w Wysokiej Głogowskiej jest wiodącą, z jej doświadczeń mają korzystać inne szkoły z powiatu rzeszowskiego. Wprawdzie nowe metody stosuje się od niedawna, ale już pierwsze doświadczenia są godne uwagi. Nauczanie odbywa się systemem pracownianym; dla każdego z przedmiotów zorganizowano pracownie bogato wyposażoną w pomoce naukowe.

Zastosowano nauczanie problemowe języka polskiego w grupach, w nauczaniu historii i geografii wykorzystuje się środki audiowizualne, podczas zajęć praktycznych uczniowie produkują przedmioty codziennego użytku. Pomyślowo realizowany jest program nowego przedmiotu — wychowania obywatelskiego; w lekcjach, po przerobieniu określonej partii materiału, uczestniczą oficjalnie przedstawiciele gromady, np. przewodniczący GRN. — Chcemy przygotować dzieci do życia w społeczeństwie, zapoznać je z organizacją państwa, funkcjonowaniem organów władzy, nauczyć czytać gazetę.

Każdy z wzmiankowanych wyżej tematów wymaga w zasadzie rozwinięcia, z braku jednak miejsca ograniczyłem się tylko do przykładów. Szkołą opiekuje się rzeszowska WSP, m. in. udzielono nauczycielom wskazówek dotyczących sposobów badania dojrzałości dzieci, które mają podjąć naukę w klasie pierwszej. Część dzieci, mimo ukończenia 7 roku życia, dojrzałości nie osiągnęła; zamierza się zorganizować równoważne ogniska przedszkolne.

Do Wysokiej Głogowskiej przyjeżdżają słuchacze Studium Nauczycielskiego; po zapoznaniu się z historią szkoły jeden z kandydatów na nauczyciela oświadczył: „Podjęm pracę w swojej wsi i też zbuduję szkołę”. Morał? Raczej stwierdzenie reakcji na dobry przykład.

Wpływ szkoły na konsolidację środowiska jest duży, ale na wieś oddziałują również wiele innych czynników. Nieprzypadkowo wspomniałem o wzrastającej zamożności mieszkańców. W tej zmienionej sytuacji warunki pracy szkoły stają się znacznie bardziej skomplikowane. Dla przykładu: nauczyciele z niepokojem mówią, że pojawił się „kult pieniądza”. Uboga nie tak dawno jeszcze wieś chce złapać w żagle koniunkturę; wielu rolników przecenilo swoje możliwości, nie łatwo jest przecież uprawić 10 tys. krzaków pomidorów. Zwiększają się obowiązki domowników, w tym także dzieci, które wykorzystuje się do prac polowych ponad ich siły.

Intensyfikacja uprawy pośrednio wpływa na obniżenie wyników nauczania; do nowej szkoły, w której uczą coraz lepiej przygotowani nauczyciele, uczniowie przychodzą zmęczeni, w szkole chcą odpocząć. Nauczyciele zwolują zebrania rodziców, perswadują, lecz bez większych rezultatów. Bywają nawet wypadki, że rodzice obrażeni za niepromowanie chłopca, nie posyłają go już do szkoły. Jeden z nich zamiast powtarzać klasę siódmą, pracuje przy wykopach ziemnych; zarabia dziennie 150 złotych.

Nauczyciele i szkoła ugruntowali swój prestiż w środowisku, nie można jednak nie dostrzec innego zjawiska — zarysującej się deprecjacji wiedzy, traktowania nauki jedynie w kryteriach dochodu. Z małymi wyjątkami wszyscy uważają, że szkole podstawowa trzeba skończyć, większość widzi potrzebę kontynuowania kształcenia w szkołach, które pozwolą na szybkie usamodzielnienie się. Dlatego podejmują przeważnie naukę w zasadniczych szkołach zawodowych, niewiele natomiast idzie do pełnych średnich. I tu nasuwa się uwaga o charakterze ogólnym; ten aspekt zagadnienia trzeba uwzględnić w dyskusyjnym od czasu do czasu problemie spadku odsetka młodzieży chłopskiej na wyższych uczelniach.

Sprawa, która wydaje mi się szczególnie ważna jest zbadanie rozmiarów wspomnianej deprecjacji kształcenia w opinii części ludności wiejskiej, w tym także młodzieży. Jak dotąd, znamy tylko oderwane przykłady.

Nauczyciele z Wysokiej Głogowskiej uważają, że to niepokojące zjawisko jest przejściowe. Szereg przesłanek wskazuje jednak na to, że jego źródła są głębsze, aniżeli chwilowy regres wywołany zapracowaniem się na lepszenie sytuacji ekonomicznej. Trzeba w porę dostrzec wszystkie konsekwencje tego procesu, bo przecież intensyfikacja rolnictwa z jej ekonomicznymi i społecznymi następstwami dopiero się zaczyna...

Znajomość tych zagadnień jest także wysoce przydatna do wyznaczania kierunków polityki oświatowej.

ZDZIŚLAW KOZIOŁ



STANISŁAW SARAMA: „Chcemy przygotować dzieci do życia w społeczeństwie...”.

Fot. M. KO.

**19 bm. rozgłośnia Polskiego Radia
w Rzeszowie
obchodzi jubileusz 15-lecia
swojej działalności
Z tej okazji gospodarzami dwóch stron
„Widnokręgu” są nasi koledzy z Rozgłośni**

**Przyczynek (już!)
historii**

Julian Wozniak



Był to początek roku 1952. Na dworcu w Rzeszowie czekał na mnie Tadek Tyrowicz z żoną Różą. Przed dworcem oczekiwały na pasażerów trzy taksówki, jakiś „opelek” z demobilu, wysłużona „dekawka” i coś tam jeszcze. Nie skorzystaliśmy jednak z oferowanej usługi.
Pamiętam — szliśmy parterową Asnyka, skręciliśmy w 1 Maja, a następnie Grunwaldzka. Padał mokry, ciężki śnieg. Brnęliśmy po kostki w błotnistej mazi. A oto centrum miasta. Ulica 3 Maja. Przyznam, — po Floriańskiej — nie najlepsze na mnie zrobiła wrażenie! Skracamy w prawo i samopoczucie się po-

prawia. Początek ulicy Jagiełłowskiej. Wreszcie jesteśmy u celu. Jagiełłowska 18. Na frontonie budynku, obok tablicy „Radioweźel” — druga, nowa: „Komitet do Spraw Radiofonii „Polskie Radio” Ekspozytura w Rzeszowie”. Tablica jak na ironię, bo jakież to było wówczas Radio?
Kilka miesięcy wcześniej, w jesieni 1951 r., przyjechała tutaj z Rozgłośni Krakowskiej Róża Jekieli. Ona była pierwszą, przed piętnastu laty, pracowniczką Radia Rzeszów. Wkrótce jednak, jako że kobieta jest istotą słabą i pionierskie warunki

pracy nie zawsze jej odpowiadają, ustąpiła miejsca mężowi — Tadekowi Tyrowiczowi, sama wchodząc w skład osobowy redakcji „Nowin Rzeszowskich”. Ja więc do Rzeszowa przyjechałem jako trzeci...
Rzecz jasna — poza tablicą na frontonie budynku nie mieliśmy tutaj nic radiowego. Mieściliśmy się kątem w rzeszowskim radiowęźle. Bez biurka, bez maszyny do pisania, telefonu. Byliśmy na lasce i nielasce kierownika z Radiofonizacji Kraju — Stefana Olejnika. Na szczęście, Stefan był łaskawy i dość często korzystaliśmy z radiowęźlowego papieru i kalki.
I w takich to warunkach „tworzyliśmy” pierwszy rzeszowski program, nadawany wyłącznie na głośniki radiowęźlowe. Ale już wtedy mówiło się: „Mówi Ekspozytura Polskiego Radia w Rzeszowie”. Mieliśmy też — a jakże, sygnał wywoławczy naszej „stacji”. Pierwsze taktę marsza „Serce generała”, nadawane z piły magnetofonowej.
Program rozpoczynaliśmy o godz. 9.40. Pracowaliśmy według ustalonego i zatwierdzonego przez kierownictwo Rozgłośni Krakowskiej planu audycji. Były to więc aktualne wiadomości, jakaś większa pozycja (komentarz, felieton, reportaży) i trochę muzyki z piły. Ponieważ było nas dwóch — każdy przygotowywał program co drugi dzień. Iście stachanowskie tempo pracy. Nie mieliśmy początkowo żadnego aktywu pozaredakcyjnego. Nie dysponowaliśmy przecież żadną wierszówką. Otrzymywaliśmy gołą pensję i wycentowano nam tylko materiały przesyłane na antenę krakowską. A program trzeba było co drugi dzień przygotować. Ba! Przygotować?! Zebrać, opracować, przepisać na maszynie, kopie przesłać do Krakowa i... wygłaszać przed mikrofonem. Oczywiście wszystko „na żywo”. Magnetofon w tym początkowym okresie Radia Rzeszów był dla nas niezszacalnym marzeniem...
Łapaliśmy się więc różnymi sposobami, by nie zawieść naszych słuchaczy. Otrzymywaliśmy już od nich listy, które były pierwszym sprawdzianem, że nas słuchają. Otrzymywaliśmy odpowiedzi na nasze głośnikowe interwencje. Nie zawsze jednak starczyło materiału do wypełnienia odcinka. Ja robiłem więc przeglądy lokalnej prasy („Nowiny Rzeszowskie” i „Dziennik Polski”), a Tadek Tyrowicz czytał w odcinkach powieści jakiegos radzieckiego autora.
Najważniejsze jednak było to, że z każdym dniem, z każdym tygodniem wzrastała popularność naszej radiowej mikroplacówki. Rósł krąg naszych sympatyków. Radio Rze-

szów zapaściło pierwsze korzenie w glebę rzeszowskiego środowiska, zaczęło istnieć, żyć, stało się faktem dokonanym.
Tymczasem nadal borykaliśmy się z ogromnymi trudnościami. Dalej pracowaliśmy kątem w lokalu Radioweźla. Tyrowiczowie sypiali na pożyczonej amerykańce w studiu. Raz nawet tak się zdarzyło, że Tadek nieco zaspał, zbliżał się czas rozpoczęcia audycji i technik radioweźla — Stefan Bielec sprawdzał aparaturę mikrofonową... Otworzył mikrofon i w tym samym momencie Tyrowiczowa niezbyt miłymi słowami zachęcała męża do szybszego ubierania się. Słowa te „poleciały” na głośniki! Ktoś z powiatu rzeszowskiego potem nam napisał, że ta krótka audycja była bardzo życiowa, prosząc o więcej tego rodzaju dźwięków. Bielec był jednak ostrożniejszy przy sprawdzaniu aparatury. A szkoda, bo studio radioweźla jeszcze przez kilka tygodni było mieszkaniem państwa Tyrowiczów. A małżeńskie rozmówki zawsze są bardzo „życiowe”.
Wreszcie gdzieś w marcu spełniły się nasze najskrytsze marzenia. Staszek Koczur, zajmujący wówczas w Rozgłośni Krakowskiej stanowisko kierownika redakcji terenowych, zalechał na Jagiełłowska dorozką konną (wraz z kierownikiem działu nagrań Rozgłośni Krakowskiej, Stanisławem Kościuszką), przywoząc nam pierwszy... magnetofon! Cóż to była za maszyna? Dwa ogromne, blacha obite pudła. Stary, przedwojenny gruchot! Dla nas jednak to już było coś? Radio Rzeszów otrzymało pierwszy magnetofon.
Do dziś zachowuję opis pierwszej audycji nadanej z Rzeszowa z taśmy magnetofonowej.
Z nagraniem tej „historycznej” już dziś audycji wiąże się jeszcze jedno, jakże zabawne dziś oceniane zdarzenie. Otóż otrzymaliśmy magnetofon, ale nikt w Krakowie nie pomyślał o tym, że w Rzeszowie nie mamy (bo i skąd?) zwykłego kleju do klejenia taśmy magnetofonowej. Nie mieliśmy więc możliwości wyścicia z taśmy ewentualnych pomyłek czy przejęczeń. W efekcie dwunastominutowy wywiad nagrywaliśmy... kilkanaście razy. Do skutku. Aż wyszło dobrze. Takie to były początki...
„JULIAN WOZNIAK
P. S.
Kiedy dziś obserwuję hart ducha i codzienne kłopoty przedstawiciela Telewizji Polskiej w Rzeszowie, kołesz Kwiatkowskiego — na myśl przychodzi mi początki Radia Rzeszów.
J. W.

Stanisław Koczur

TAKI...

Ten okres, o którym pisze red. Julian Wozniak, wydaje się dziś szalenie odległy. Wydaje się, że od dnia dzisiejszego dzieli go nie 15 czy 10 lat, ale jest to co najmniej epoka kamienia glazowanego.
Dystans ten powiększa się jeszcze, jeśli patrzeć z perspektywy kilku magnetofonów reporterskich, jakimi dziś dysponujemy, wozów transmisyjnych, studiów i tej całej gamy urządzeń technicznych stojących dziś do naszej dyspozycji.
Kłopoty z tamtych dni są jakies małe, nieistotne, ale wtedy były one dla nas bardzo ważne.
Wielkim świętem było dla nas zainstalowanie z prawdziwego zdarzenia magnetofonu, takiego, jakim dysponowały „prawdziwe Rozgłosnie Radiowe”. Placówka Polskiego Radia mieściła się wówczas przy ulicy Jagiełłowskiej 18.
Audycje, łączone z sygnałem, zapowiedziały, były nagrywane na taśmie, ale uzupełnienie muzyką było odtwarzane z dwu gramofonów. Pewnego razu technik skończył odtwarzanie z taśmy, ostatnie słowa zawierały zapowiedź utworu, który miał być odtworzony z piły, technik chciał założyć piytę, a ta nagle wymknęła mu się z rąk i upadła na podłogę. Oczywiście nie mógł jej odtworzyć. Rozbiła się na kilka kawalków. No i zamiast — bodajże „Na lewo most — na prawo most” — słuchacze usłyszeli — wiązanek czar-daszki.
Po pewnym czasie otrzymaliśmy po długich staraniach przenośne magnetofony. Nie był to oczywiście nowy sprzęt, ale wypracowana aparatura w innych „dużych” rozgłosniach. Składała się ona ze skrzyń wielkości dobrych waliz. Ówczesny kierownik techniczny, Stefan Olejnik, więcej czasu spędzał przy naprawach aniżeli te magnetofony nagrywały. Ale byliśmy szalenie dumni z pierwszego reportażu dźwiękowego, jaki został nadany w lokalnym programie.
Jak wyglądał wyjazd w celu przeprowadzenia transmisji z dworca PKP w Rzeszowie? Miał to być bowiem reportaż z wyjazdu dzieci pracowników WSK na kolonie letnie. Przed budynkiem na Jagiełłowskiej zalechały dwie konne dorozki. W jednej jechała aparatura, troskliwie podtrzymywana przez kolegow, aby nie wypadła, w drugiej dorozę jechał spowidł w kłębki koledzy technicy. Wysoko sterczały stojaki z mikrofonami, gdyż jeszcze wtedy nikomu nie śniło się o składanych, przenośnych stojakach. Cała ta kawalkada przejechała przez całe miasto odpowiadana zdziwionymi spojrzzeniami przechodniów.
Kolejarze byli bardzo zaambarsowani pierwszą transmisją w historii PKP.
Pomagali w przenoszeniu sprzętu. Oczywiście zaraz nas otoczył tłum ciekawskich. Całe szczęście, że przężorni technicy założyli rezerwy kabel mikrofonowy, bo kolejarze w nadmiarze gorliwości tak naciągneli kabel, że przewody pękły. Niewiele brakowało, aby reportaż dźwiękowy nie doszedł do skutku.
Urządzeń technicznych zaczęło przybywać od czasu, kiedy w listopadzie 1953 roku po raz pierwszy w eter popłynął sygnał i zapowiedź: „Mówi Rozgłosnia w Rzeszowie”. Potem nowy budynek przy ulicy Swierczewskiego przeniósł nas w zupełnie inny świat techniki. Nie znaczy to jednak, żeby nie było kłopotów.
Ale tamte, sprzed lat, wspomniane są zawsze z nutką sentymentu, niosa z sobą ten nieuchwytny czar, jaki bezsprzecznie płynie od mikrofonu.

Adolf Jakubowicz

REPORTAŻ

pywał się w siano z dala od innych i cierpliwie czekał okazji, by móc przekazać pierwszy meldunek.
Niestety, nie było okazji. Tymczasem każdy dzień przynosił dalsze napady, podpalenia i gwałty. Patrzył na to wszystko bez drgnienia powieką. Dowódca przyglądał mu się, czasami pokpiwał z jego „mniekkości”. Wiedział, że jest obserwowany. Mijały dni i tygodnie...
Siuchaliśmy opowiadania z rosnącym zainteresowaniem. Krażek magnetofonu obraca się przez cały czas. Przerwy i pauzy wytniemy później, teraz tylko słuchać, byle nie przerwać wątku opowiadającego. Po kilkadziesiąt minutach jak gdyby się ożywił, aż do miejsca, w którym opowiedział o historii, która zrobiła na nim największe wrażenie...
Zauważyliśmy, że zaczyna się z nim dział co niedobrego. Oddychał szybko, gwałtownie, odwrócił się, ukrył twarz w dionizach i zamilkł.
Staszek Koczur wyszedł po jego kolegów. Zabrali go delikatnie pod rękę. Wyprowadzili do sąsiedniego pomieszczenia. Nie spotkaliśmy go więcej.
Zakończenia tej historii nie dowiedzieliśmy się nigdy. Powiedzieli nam, żeby więcej się do niego o nią nie zwracać. Od tamtego czasu

przez lat z górą dwadzieścia każda jego relacja załamuje się na pewnych faktach, których powtórzyć nie umie, załamuje się w tym samym miejscu, które nawet teraz po latach jest ciągle granicą jego wytrzymałości.
Jest dziś strzępem człowieka, cierpi na chorobę, na którą nie ma lekarstwa.
A zadanie, jakie otrzymał wtedy? Zadanie wykonał znakomicie. Dzięki niemu została rezbita jedna z band UPA grasująca w rejonie Birczy i większa liczba jej członków dostała się w ręce wojska bądź zastrzelona została w walce.
Nie dokończyliśmy reportażu. Na taśmie została długa pauza i płacz, bezsilny płacz człowieka, który nie może uwolnić się od przeszłości.
Jest na pewno w praktyce reportera radiowego wiele momentów niepowtarzalnych, jakich nie jest w stanie przekazać najściślejszy stenogram, jakich nie odda fotografia czy taśma filmowa. Są to w pracy tej jaśniejsze punkty, zachęcające do podjęcia mikrofonu, którego tak nieraz ma się dość.
Pamiętam kilka takich sytuacji, które potrafiły w pełni zrekompenzować trud taszczenia na ramieniu kilkunastogramowego magnetofonu.
Oto kilka z nich. Łażę po miasteczku, szukam kontaktu z ludźmi, którzy znają jego przeszłość. Pokazano mi dom, w którym kogoś takiego znajdę. Wchodzę do środka. Przy warsztacie siedzi chłop z czarną opaską na oku. Witamy się, zapalamy papierosa. Mówimy o wszystkim i niczym. Pytam, czy nie wie kto mógłby mi coś powiedzieć o przeszłości tej miściny.
— Proszę bardzo! Ja panu powiem.
Włączam mikrofon i nieruchomieję ze zdumienia. Zarośnięty, stary

człowiek zaczyna piękną literacką polszczyzną mówić cudowne legendy związane z najbliższym regionem. Mówi tak aż do zupełnego wyczerpania taśmy magnetofonowej. Audycja poleciała na antenę niemal bez jednego cięcia montażowego.
Od kilku lat spotykamy się w przeddzian Sylwestra. Robimy wspólnie bilans roku, jego dobre i złe strony. Poznałem się z nimi, gdy siedzieli podobnie jak i inni jeszcze mieszkańcy w budach, szałasach, na spółkę z bydlęm. Pamiętam, że przez cały czas tamtego pierwszego nagrania, do izby, w której rozmawialiśmy wsadzała łeb krowa. Jak w surrealistycznym dowcipie na treść rozmowy nanosiły się od czasu do czasu jej ryki.
Sąsiedzi z drugiego domu:
— Panie, jak spałimy w zimie, to pod pierzyną i w czapkach. Ale włosy i tak przymarzały do poduszki”. Tak zdanie to odczyta czytelnik. Jakże inne, mimo tych samych słów będzie ono w uszach słuchacza?
Niejednokrotnie zadawałem sobie to pytanie. Co jest wyjątkowego w tym pejzażu? Pustka. Wielkie przestrzenie pozbawione regularnych form ukształtowanych przez człowieka. Na pewno. Ale jest coś, czego nie można określić w miejscach, gdzie kwitnące sady mówią o spalonych wsiach... Przez wiele lat szukałem odpowiedzi na to pytanie.
Kiedyś Mama Mockowa opowiadając o przyjeździe do wsi powiedziała mi:
— Panie, jak my tu przyjechali, to nic nie było. tylko góry i las, góry i las. Dziecka nie było i ptaka nie było...
Przyjechała później do wsi kobieta z małym dzieckiem. Chodziliśmy koło niego wszystkie. Jak gdzieś zapłakało, tośmy rzucali robotę w polu i lecieli do domu, czy mu się przypadkiem co nie stało.
Smutno jest panie bez dzieci i ptaków...
Ależ tak! Rzeczywiście. Przecież w opustoszałych wioskach w ogóle nie słyszy się śpiewu ptaków! Wróble zjawiają się w każdej osadniczej wsi razem z dziećmi.



Korespondencje ♦ Dyskusie ♦ Polemiki ♦ Korespondencje

Gustaw Ostasz

ABY NIE WYMKNEŁA SIĘ NAM WIELKA SZANSA

Artykuł Piotra Zbikowskiego jest zastanawiający, przynajmniej dla mnie, iż zdopingował mnie do powtórnego, baczniejszego odczytania wypowiedzi autora „Potrzeby społecznej kontroli”...

rzecz idzie. Spróbujmy wyzbyć się zbędnego balastu niepotrzebnych i zwietrzałych epitetów, pochodzących od wszelakich czynów społecznych i remanentów...

się” głośno intelektualnego (jedną z najmilszych chorób), zmuszającego go (studenta) do systematycznego pogłębiania wiedzy w czasie studiów...

Miejmy odwagę postawić problem otwarcia. Czy idzie nam o to, aby owa, rzekomo istniejąca, kontrola społeczna, o której mówi Piotr Zbikowski, odwracała uwagę studentów...

Doświadczeń tutaj do drugiego człowieka rozważań Gębali, czyli do końca. Pozwolę sobie powtórzyć raz jeszcze jego zdanie...

Dopiero teraz jasno rysuje mi się sens i potrzeba toczącej się dyskusji. Zmierzać ona winna ku temu, by nikogo nie potępiać, nikomu oczu nie mydląc...

A więc chodzi o przeciwdziałanie takiemu stanowi rzeczy, charakterystycznemu przede wszystkim w innych środowiskach akademickich, faktem, które Zbikowski całkowicie neguje...

Tymczasem studia mają przygotować człowieka z gruntu przydatnego do życia w społeczeństwie. Stąd u Gębali mowa o braku i o potrzebie społecznej kontroli...

Chociaż Zbikowski zaprzecza „hermetyczności” środowiska studenckiego, to jest to zaledwie niekonsekwentna próba szukania kontrargumentu dla sądów Gębali...



Napisał przed tygodniem Ryszard Kosiński w Życiu Literackim, że telewizja zalewa nas premierami teatralnymi, że to zaczyna się nudzić...

Co powiedziałabyś na jej korzyść — z radością przystępuję do przypomnienia jednego z dramatów królewskich Strindberga — „Eryka XIV”...

zgniliznę postaw moralnych naszego czasu. Dobre przedstawienie. Równie dobra, choć na pewno zupełnie różna w tonacji, była, powtórzona z telerecordingu, próba dramatu dokumentalnego Michała Szatorowa...

I by wyzwolić się spod magii sceny uciekam w inne widowisko, które notabene przez moment stawało się teatrem, choć adwersarze twierdzą...

Co napisał, a dość rzadko mi się zdarza wracać w kwestie sportu, przenoszę się w inne jego regiony — w szaleństwo rajdów samochodowych...

Trzeba także przy okazji tych atrakcyjnych wieczorów wtorkowych telewizji krakowskiej wyrazić żal na tym miejscu, że wcześniej na ów pomysł nie wpadła Warszawa...

Solidaryzując się zaś z maślankami, powiem, że smutno trochę oglądało się koniec „Czterech pancernych i psa”...

Stanisław Raczkowski: TERENY ZIELNI. Podręcznik dla techników ogrodniczych. Wwa 1966, PWRIL, s. 212, cena 15 zł.

Zródło wiadomości o rodzajach ogrodów, dróg, boisk itp. Nie tylko dla przyszłych projektantów terenów zielonych...

Halina Rudnicka: SYN HERAKLESA. Wwa 1966, LSW, s. 415, cena 33 zł.

Jan Huszcza: ZARTY, SATYRY, FRASZKI. Łódź 1966, Wyd. Łódzkie, s. 180, cena 15 zł.

Satyryczne utwory dawniej i całkiem współcześnie powstałe. Wszystkie jednak mają wspólne zadanie: chłostanie przywar ludzkich np. „Portrety” (o malarstwie)...

HODOWLA ZIEMNIKA. Praca zbiorowa pod red. K. Roguskiego. Wwa 1966, PWRIL, s. 508, cena 58 zł.

Drugie, obszernie, poprawione i rozszerzone wydanie. Od spraw związanych z historią hodowli ziemniaka przechodzi do cech i techniki uprawy tej pożytecznej rośliny.

Mościłki Jan: CO NALEŻY WIEDZIEĆ O BADANIACH RENTGENOWSKICH. Wwa 1966, PZWL, s. 79, cena 4 zł.

Popularne opracowanie wyjaśniające właściwości promieniowania X, podstawowe badania rentgenowskie oraz ich znaczenie dla chorego...

O SOCJALISTYCZNY ROZWOJ WSI. Dyskusja ciąg dalszy. Wwa 1966, KIW, s. 591, cena 60 zł.

Tom pierwszy zawierający dyskusję o przeobrażeniach współczesnej wsi ukazanej w roku 1964...

M. Szymkiewicz, A. Malinowski: KURY. Wwa 1966, PWRIL, s. 216, cena 22 zł.

Praca rozważa możliwości podniesienia poziomu hodowli drobiu oraz zwiększenia produkcji nośnej i mięsnej.

Z. Horszky, M. Piawec: CZŁOWIEK POZNAJE WSZECHSWIAT. Tłum. L. Holub, Wwa 1966, PWN, s. 530, cena 40 zł.

Praca czeskich uczonych wydana w „Bibliotece Problemów”. Przedstawia historię astronomii od powstania tej nauki do współczesnej epoki nowej techniki...

Jerzy Zakrzewski: MIASTO W WOJNIE JADROWEJ. Wwa 1966, MON, s. 280, cena 29 zł.

Zmienione wydanie pracy o losach miast w przypadku wojny rakietowo-jądrowej. Ukazuje skutki wybuchu atomowego w mieście...

ROZNIK LITERACKI 1964. Wwa 1966, PIW, s. 601, cena 70 zł.

Kolejny tom publikacji, podsumowującej dorobek literacki i wydarzenia kulturalne Polski za poszczególne lata.

„Tango” Mroźka w Turku. W Teatrze Szwedzkim w Turku odbyła się premiera „Tanga” Sławomira Mroźka...

Kopystyna



WASI RADIOWI KOLEDZY W JUBILEUSZOWYM MONTAŻU JERZEGO SIENKIEWICZA

Wiadomości sportowe podaje Adam Socha (z lewej od góry). Obok spikerka Anna Hetmańska. W prawym rogu czeka jedyny zaprzeczony reprezentant drużyny piłkarskiej dziennikarzy, Włodzimierz Wal. Mikrofonik podtrzymuje dziadek Babula, czyli Julian Woźniak, a jubileuszową tablicę niesie Gzesław Gniewek, któremu adorują Olga Mazurkiewicz i Krystyna Sokółowicz. Z lewej, z kwiatkiem — Jerzy Popow wraz z Tadeuszem Ostrowskim (nad nim) przygotowują audycję przeciwalkoholową, na której przekład na obcy język oczekuje Jarostaw Czarnobaj. Przy słuchawce telefonu niczyj kieruje naczelny redaktor Zygmunt Wójtowicz, któremu podpowiada z prawej Stanisław Koczur. Podkłady muzyczne przygotowuje Tadeusz Hejda, a niżej radiowy grafik Adolf Jakubowicz w autokarykaturze. Nad kolumną kultury Zbigniew Wawszczak, obok unosi się Sokół (Tadeusz).

Władysław Szwaja

Radiowy magazyn różnorodności

Muzycznym sygnałem rozpoczynamy nasz rzeszowski magazyn różnorodności, poświęcony w całości piętnastolecu rzeszowskiej rozgłośni Polskiego Radia (gromkie, ogromne i dobrowolne brawo).

— Drogi redaktorze — zwracam się do redaktora naczelnego rozgłośni, Zygmunta Wójtowicza — prosimy z okazji jubileuszu o kilka liczb.

— Proszę bardzo. 1951.

— 1951? Ach, już rozumiem! To są średnie pobory miesięczne dziennikarzy radiowych.

— A skądże, jeszcze nie doszliśmy do tego, powiedzmy, tematu. To po prostu rok założenia rozgłośni. Proszę sobie wyobrazić — już 15 lat przeżywamy w eterze...

— To podobno usypia.

— Słuchaczy. Nas — mobilizuje. Oto dowody. W ciągu minionych 15 lat nasze audycje trwały łącznie ponad 6 tys. godzin. Założmy teraz, że naszych audycji słucha codziennie tylko milion osób, to po wymnożeniu obu liczb otrzymamy 6 miliardów słuchaczogodzin, a to już nie jest bagatelka.

— Oczywiście. Po przełożeniu tego jeszcze przez 60 minut, dojdziemy do 360 miliardów słuchaczogodzin. A sekundy!

Ba! Ale może jeszcze inny przykład. Nagraliśmy ponad 12 tysięcy kilometrów taśmy. Z tego ponad połowę nagrał redaktor Gniewek. Do księżycy to jeszcze nie sięga, ale nagrana przez nas taśma można 4 razy opasać granicę Polski.

— Przepraszam, a czy ktoś próbował?

— Chyba nie, choć podejrzewałem już kilka razy redaktora Sochę i Czarnobaję, kiedy zbyt długo czekałem na ich powrót z terenu.

— I jeszcze jedno pytanie. Czego pan życzy rozgłośni z okazji 15-lecia?

— Życzę sobie i redakcji dobrych Muz inseminalcji, żeby trochę rewelacji w mieście mieć.

Żeby „Eldom” puścił sputnik,
by Łoboda grał na lutni,
żeby była woda w studni
i t d.

Żeby w lecie nad Wisłokiem
Mastrolami tyłał okiem,
żeby odkryć dom z Sherlockiem,
albo gaz.
Żeby sukces i tak dalej,
by w Rzeszowie nas słuchali;
a z Warszawy cytowali
raz po raz.

— Dziękuję za cenną wypowiedź. Mam nadzieję, że coraz częściej będzie rozbrzmiewał w eterze sygnał naszej rozgłośni.

(Sygnał rozgłośni)

Jedzie, jedzie radiowóz,
aż się z niego sypie kurz.
Wiecie Woźniak albo Wal
taśmotekę w siną dal.
„Złote kalendarze”,
cztery reportaże bis.
I z Łobodą kinderbal.
W naszym studio wielki bal,
wraca Woźniak, albo Wal,
zrobią na antenie tloł
dadzą znów na cały rok:
„Złote kalendarze”
cztery reportaże bis
i z Łobodą five o'clock.

W poniedziałek „Radiowy magazyn różnorodności” poświęcony będzie 15-leciu Rozgłośni Rzeszowskiej. Oto krótki fragment satyrycznych różnorodności Władysława Szwaia. Polecamy!

Na naszych ekranach

MACHA MERIL

Kiedy w kwietniu 1961 roku gazety całego świata przyniosły na czołowych miejscach nazwisko człowieka, który jako pierwszy poszybował w kosmos, pewna młodziutka, filigranowa aktoreczka francuska z biciem serca wertowała rodzinne archiwum. Szukała śladów pokrewieństwa z majorem Jurijem Gagarinem, wzruszona, że to właśnie jej imiennik rozpoczął nową erę w dziejach ludzkości. Ale pierwszy kosmonauta nie był jej krewniakiem, choć aktoreczka nazywała się również Gagarin — Maria Gagarin. Zresztą podobnie jak jej rodaczka Marina Vlady — Poliakow używała rodzimego nazwiska tylko w życiu prywatnym. Na scenie i na ekranie postąpiła się pseudonimem artystycznym Macha Meril.

Naszemu widzom kinowym pseudonim ten mówi niewiele lub zgola nic. Ale we Francji jej zdjęcia nie znikają ze szpał gazet, według zaś relacji tygodnika „Ekran” Macha Meril „to aktorka, w której kocha się cały Paryż”.

Zaczynała — jak wielu jej koleżanek francuskich — od nauki w słynnym Theatre Nationale Populaire prowadzonym przez Jeana Vilara, w czasach gdy na tej scenie występował nieodżałowany Gerard Philippe. Miała wtedy 18 lat. W rok później zagrała swoją pierwszą rolę filmową u boku Jacquesa Charriera w obrazie reżysera Gerarda Oury „La main chaude”. Rola ta zwróciła na nią uwagę, przepowiadano jej wielką karierę, ale żaden z następnych filmów tego nie potwierdził. A było ich niemało — bo od 1959 roku aż 10, między innymi „Adorable Mentheuse”, „Mercredi soir”, „9 heures” i inne. Grała z Brigitte Bardot w filmie Rogera Vadima „Odpoczynek wojownika”, w USA występowała na ekranie u boku Deana Martina. Stawę przyniósł jej dopiero film Jeana-Luc Godarda „Kobieta zameżna”.

Trudno streszczać ten utwór, ale ze względu na reakcje, jakie wywołał, trzeba powiedzieć o co w nim chodzi. Godard pokazuje tu młodą kobietę żyjącą z zmianną z dwoma partnerami: mężem — lotnikiem zjawiającym się w domu raz na jakiś czas i z kochankiem, o którym właściwie niewiele wiemy. Reżyser nie potępia i nie piętnuje swojej bohaterki. Jej postępowanie nie dowodzi wcale rozwiązłości czy przewrotności. Nie zdaje ona sobie sprawy, którego z dwóch mężczyzn właściwie kocha, obaj są jej potrzebni, a najbliższym wydaje się ten, z którym akurat przebywa. Godard ukazując kilka dni z życia tej kobiety przedstawia nam jej dramat, rozterki, niemożność podjęcia decyzji i wyjścia ze skomplikowanej sytuacji.

Film wywołał burzę we Francji. Cenzura domagała się usunięcia zbyt śmiałych, jej zdaniem, scen erotycznych, opinia publiczna podzieliła się na przeciwników „Kobiety zameżnej” zarzucających Godardowi nieobyczajność, a próbą zdrady i dwulicowości i wiele innych grzechów oraz na zwolenników filmu widzących w nim zupełnie inne zjawiska. Autor nunięszego zalicza się do tych ostatnich. Moim zdaniem „Kobieta zameżna” to piękne dzieło traktujące w niezwykle poważny sposób o istotnym i istniejącym — czy tego chcemy, czy nie — zjawisku współczesnego świata, zjawisku będącym wytworem określonych warunków społecznych i moralnych. Dzieło Godarda to film smutny, liryczny i wzruszający. A że szokuje swą szczerością? No cóż, takie bywa życie i trzeba mieć odwagę o tym powiedzieć. Niestudzny widać się również zarzut erotyzmu czy pornografii. Rzeczywiście ciało kobiety — znakomicie i nowatorsko zresztą fotografowane — dominuje w wielu sekwencjach filmu, ale wynika to z założenia utworu. Właśnie to ciało, młode i piękne sprawia bohaterce tyle kłopotów natury psychicznej, ono rządzi jej postępowaniem, narzuca swoje prawa. Ale reżyser i operator nie przekraczają nigdy granicy przyzwoitości i dobrego smaku. W odróżnieniu od wielu filmów — m. in. także polskich — gdzie nagość jest dodatkiem, magnesem dla publiczności, tu jest ona istotnym elementem dramaturgicznym.

Macha Meril waleń przyczyniła się do sukcesu filmu Godarda. Zagrała swą rolę wyśmienicie, stworzyła znakomitą kreację w roli kobiety rządzonej nie przez rozum, ale przez jakieś biologiczne instynkty. Jej aktorstwo sprawia, że nie tylko widzimy w istnienie takiej właśnie kobiety, ale zaczynamy rozumieć jej tragedię, współczujemy zamiast potępiać.

26-letnia (ale wygląda na co najmniej o 10 lat młodszą) aktorka znajduje się obecnie w pełni rozwoju swego talentu. Po „Kobiecie zameżnej” zagrała już w kilku innych filmach, marzy o wystąpieniu w komedii, którą uważa za najbardziej interesującą i dającą aktorowi duże pole do popisu gatunek sztuki. — Chaplin udowodnił — mówi — jaką komedią jest świat. Właśnie przez komedie podobne jego filmom można ludzi nie tylko bawić, ale i wychowywać.



Na pytania korespondenta czechosłowackiego czasopisma „Kino”, których aktorów lubi najbardziej odpowiada:

— Lubiałam bardzo Marilyn Monroe, za wzór aktorki uważam Audrey Hepburn i Shirley Mac Laine, spośród mężczyzn najbardziej podziwiam Marlona Brando.

Spytana o ulubionych reżyserów wymienia Felliniego, Bunuela i Orsona Wellesa. W ich filmach — stwierdza — zagrałbym kiedykolwiek i w jakiegokolwiek roli.

(10. sz.)

Zdarzenia tygodnia

W województwie rzeszowskim gościł znany pianista, rzeszowianin z pochodzenia, Adam Harasiewicz. Artysta wystąpił w Jarosławiu (10 bm.), Łańcuchcu (12 i 13 bm.) i Krośnie (14). Program recitali wypełniły: Karnawał Schumanna, III Sonata Prokofiewa, Sonata Ravela i utwory Chopina.

12 bm. w Państwowym Teatrze im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie odbyła się premiera sztuki Jarosława Abramowa pt.: „Derby w pałacu”. Reżyseria Stefana Wintera, scenografia Ireny Perkowskięj.

10 bm. zainaugurował działalność Dyskusyjny Klub Filmowy przy rzeszowskim WDK. W tym dniu odbył się pokaz — przegląd filmów z Michèle Morgan. Red. Rafał Marszałek mówił o jej aktorstwie i kinematografii francuskiej.

11 bm. odbył się wieczór, zorganizowany z okazji 49 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, na który złożył się przegląd filmów krótkometrażowych, związanych z wydarzeniami Października oraz występ teatru poezji „Bademus” z MPGK w Rzeszowie.

W Jarosławskim PDK odbyło się 10 bm. spotkanie delegata na Kongres Kultury Polskiej, zast. przew. Prez. WRN w Rzeszowie, Mieczysława Kaczora z kierownikami powiatowych i zakładowych domów kultury. Podczas spotkania omówiono sprawy związane z działalnością placówek kulturalno-osiwiatowych, wynikające z uchwał Kongresu.

11 bm. w Dynowie odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego „Dni Folkloru Pogórza Dynowskiego”.

Impreza odbędzie się po raz pierwszy w przyszłym roku w dniach od 21 do 23 maja. Program przewiduje m. in. przegląd wesel regionalnych w wykonaniu zespołów amatorskich, seję popularnonaukową, plener plastyczny amatorów oraz imprezy turystyczne.

Wydział Kultury Prez. WRN w Krakowie zaprosił przedstawicieli województwa rzeszowskiego do uczestniczenia w konferencji instruktażowej dla kierowników wydz. kultury prez. PRN, kierowników powiatowych i miejskich bibliotek publicznych i PDK. W zorganizowanej w dniach od 14 do 16 bm. konferencji (Zakopane) na temat: „Teatr i teatr poezji w pracy k.o.” uczestnicy 8-osobowa grupa przedstawicieli poszczególnych powiatów naszego województwa.

W Rzeszowie odbyło się seminarium dla kierowników i instruktorów powiatowych i miejskich bibliotek publicznych poświęcone omówieniu zagadnień ust. wodawstwa pracy oraz przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy. Omówiły również niektóre zagadnienia pracy w wodowej.